

ALEKSANDER ROMANKO

Kanonier Aleksander Romanko, 22 lata, zawód [nieczytelne], kawaler.

Na zawsze, czyli do śmierci, zostanie w mojej pamięci 10 lutego 1940 r. W dniu tym pozbyłem się całkowitej wolności, zostałem aresztowany wraz z rodziną. Wysłano nas w głąb Rosji, nazywając *specpierrezielency*, czyli zesłańcy. Rodzina moja składająca się z trzech osób, tj. ojca, matki i mnie, mieszkała w cichej mieścinie na skraju lasów, należeliśmy do wsi Szpakowce k. Baranowicz. Po zajęciu naszej miejscowości przez Sowieków każdego dnia byliśmy nękani przez władze wiejskie i sowieckie, spisywano nas po kilkadziesiąt razy, jednak nadal mieszkaliśmy we własnym domu i zagrodzie ojcowskiej.

Po pewnym czasie wszystko się uspokoiło i nawet zaczęliśmy spać spokojnie, tak jak dawniej. Lecz trwało to bardzo krótko.

10 lutego 1940 r. spaliśmy jeszcze w najlepsze, gdy o godz. 3.00 rano zerwało nas ze snu silne dobijanie się do drzwi i oświetlenie latarkami całego domu, a zwłaszcza pokoju sypialnego. Ciszę nocną przerwały psy, które ujadły szalenie, a potem głos: *Otkroj dwieri*, czyli: „Otwórz drzwi”. Tak ja, jak rodzice zrozumieliśmy i poczuliśmy, czym dla nas zapachniało. Spodziewaliśmy się, że przyszli aresztować tatusia, a może i mnie, nie spodziewaliśmy się zsyłki rodzinnej.

Po [tym, jak] otworzyliśmy drzwi, skierowało się na nas kilka łuf karabinowych ze szpikulcami i rozkaz: *Ruki wwierch!* („Ręce do góry!”). Do domu weszło kilku milicjantów wiejskich, kilku osobników cywilnych i NKWD-zista w stopniu lejtnanta (porucznika), wszyscy uzbrojeni w broń palną. Natychmiast kazano mnie i mamusi wstać z łóżka, poddać się *obysku* [?] (rewizji), chociaż byliśmy w nocnych koszulach. NKWD-zista zażądał zdania broni palnej i białej. Gdy tatuś odmówił – dowodząc, że [jej] nie posiadamy – [funkcjonariusz] zarządził szczegółową

rewizję, grożąc, że jeśli coś [znajdzie], spotka nas surowa kara. Milicja ochoczo rzuciła się do szafy, łózek, kredensu i do każdego zakątka domu, przetrząsając najmniejszą rzecz. Sam Sowiec siadł na krześle, posadził nas, zabraniając opuszczenia pr[ogu] domu nawet na krok, i zaczął wypytывать o usposobienie nasze do Sowietów i o dzieje [nieczytelne] życiowych, nad każdą odpowiedzią zastanawiając się bardzo i nawet prosząc o wytłumaczenie od danych osobników cywilnych. Zażądał złożenia: papierów rodzinnych, dokumentów i fotografii. Każdy papier został przetłumaczony na język rosyjski, fotografie rodzinne dokładnie przez niego obejrzone, odłożone i zapakowane do teki. Znalezione kilka książek, jak *Ogniem i mieczem*, *Potop*, *Pod Raszynem*, *Racławice*, *Rok 1920* i in., także portrety marszałka Piłsudskiego, Rydza-Śmigłego, prezydenta Mościckiego i godło – Orzeł Biały.

Mówiąc prawdę, on wiedział tylko, co to jest godło. Portretów nie znał, książek też. Gdy mu wytłumaczono, że są to portrety przywódców Polski, a książki przeważnie patriotyczne, to go najbardziej zdenerwowało i twarz mu natychmiast zbieleła. Jak [do tej pory] rozmawiał z nami dość przyzwoicie, [tak] raptem wybuchł, każąc rzucić wszystko do pieca i spalić, a do nas odniósł się tymi słowami: *Więc wy o Polsce jeszcze nie zabyli? Zabudźcie!* („Wy o Polsce jeszcze nie zapomnieli? Zapomnijcie!”). [Powiedział, że] ona już nigdy nie powstanie, tak jak zmarły z grobu nie powstał. Zaczął przezywać: *Parazyty! Wragi raboczego kłasa* itd., na co była jedna tylko obrona: milczenie. Wreszcie wstał, [wy]dostał jakiś papier i odczytał: *Po ukazu Stalinskiej konstytucji...* i coś jeszcze z jakichś artykułów. [Oznajmił, że] cała rodzina podlega wysiedleniu w głąb Rosji jako *specpierrezielency*, czyli zesłańcy. Cały inwentarz żywy i martwy został przeznaczony dla dobra rządu sowieckiego, z sobą można [było] zabrać żywność i ubranie nieprzekraczające wagi 30 pudów. „Pakować się!”

W domu powstał płacz i lament, człowiek na myśl taką truchleje. Gdy wspomnę życiowy zamęt w tym dniu, serce zemstą goreje. Mamusia zemdląca. On tylko się zaśmiał i rzekł: „Szkoda rzucać cudzą pracę?”. Ja i tatuś pakowaliśmy się, lecz można było zabrać [tylko] to, co nie podobało się milicji i NKWD-ziście. Na przykład radia nie można, patefonu też. Maszynę do szycia, rower i inne rzeczy musieliśmy zostawić. NKWD-zista z ciekawością przyglądał się każdej rzeczy, bezustannie powtarzając: *Kułak niczego*. Po upływie 40 min musieliśmy pożegnać dom rodzinny i zapakować rzeczy na jedną furmankę, która była już sprowadzona, a na rzeczach usiadła mamusia. My z tatusem na drugich saniach z milicją i NKWD-zistą ruszyliśmy w drogę do Baranowicz. Po drodze nie można było z nikim się pożegnać lub komu zbliżyć się do nas – byliśmy aresztowani. Bez względu na silny mróz

i zawięję bez ogrzania się musieliśmy jechać ok. 20 km na stację do Baranowicz. Byliśmy wprost bezprzytomni. Jechała tylko nasza rodzina. Po kilku kilometrach spotkaliśmy takie ofiary jak my, które dążyły w tę samą stronę. W Baranowiczach spotkaliśmy setki rodzin, które były ładowane do wagonów. Nasz wagon był 14. Wagon 18-tonowy, [miał] trzy rzędy półek, piec i dwa okienka. Wsadzili nas, sześć rodzin, razem 29 osób – mężczyźni, kobiety i dzieci. Wagony [zostały] zamknięte na rygiel, co kilka wagonów stał żołnierz ze szpikulcem. Na dwór nie wypuszczano, jedynie jeden lub dwóch [więźniów mogło wyjść] po żywność lub opał. 11 lutego 1940 r. pożegnaliśmy Baranowicze i wyjechaliśmy w kierunku Mińska w ZSRR. Po drodze dawali nam po pół kilograma chleba i raz lub dwa razy zupę na większych stacjach. Prawda, że nam to w zupełności wystarczało, bo nikt nie mógł jeść, jedynie cały pociąg rozbrzmiewał „Pod Twoją obronę...” i innymi modlitwami, które bardzo denerwowały naszych stróżów. Za osobistą potrzebą wyjść nie [było] można. Każdy z nas, a zwłaszcza kobiety czy dziewczynki męczyły się bardzo – dzień, drugi, lecz potem musiały korzystać z parawanu. Do pociągu z osób cywilnych nikt nie mógł się zbliżyć i zamienić z nami słowa. Widzieliśmy przez okienko, jak na stacjach patrzyli na nas ze łzami. Pamiętam, jeden kolejarz, który sprawdzał koła, stał przed nami i rzekł: „Jedziecie na pohybel, na Sybir...”. Natychmiast zauważył to żołnierz, czyli nasz stróż i jego biednego [gdzieś] poprowadził. Co z nim się stało, nie wiem.

18 lutego dojechaliśmy do końca odnogi kolejowej, która biegła w głąb lasu, dostaliśmy obiad na tej ostatniej stacji Szabrycha. Po jego spożyciu z wagonów po kolei wyładowywali po jednej rodzinie i po spisaniu przekazywali innej władzy, która jeszcze raz przetrząsała wszystkie bety, a dopiero podjeżdżał kołchoźnik, obdarty i w łapciach z miazgi lipowej, na lichym koniu i [z] saniami syberyjskimi. Załadowaliśmy się i grupkami po kilkanaście sań odjeżdżaliśmy na miejsce naszego przeznaczenia. Każdy dostał tabliczkę, a na niej adres, np. moja rodzina: *spec horodok Południewica, barak 11, sala 2, kabina 13*. Adres bardzo długi, każdy z nas był bardzo ciekawy, jak tam wszystko wygląda. Kołchoźnikom nie [było] można z nami rozmawiać. Nas wiozł jeden uczciwy staruszek, który bardzo przyglądał się naszym rzeczom [nieczytelne], a potem dopiero nam. Po jakimś czasie wciągnęliśmy go w rozmowę. Rzekł nam: „Ja nie mam prawa z wami rozmawiać, ale ja jestem już stary, mnie nic nie straszne. Powiedzieli nam, że wy jesteście zarażeni chorobami, nie można was dotykać lub czegoś [od was] brać, a nawet [z wami] rozmawiać; słomę tę, gdy was odwieziemy, musimy spalić. Ja w to nie wierzę, lecz młodzież nasza jest święcie przekonana, [że tak jest,] bo jej tak

wpoili. Ja wam mogę powiedzieć, że jeśli warunki polityczne się nie zmieniają, kraju swojego nie zobaczycie, do śmierci nikt o was się nie dowie, tak jak ja nie wiem już piętnaście lat, gdzie żyje i czy umarł mój rodzony brat. Powiem wam jedno: u nas nie ma ani brata, ani siostry, a nawet dziecka, nie mówiąc o przyjaciołach. Każdy się boi, jeden drugiemu nie wierzy, słowa nie powie. [Nieczytelne]”. Kościoły wszystkie [były] pozamykane, [mieściły się w nich] składy zboża, kluby i toalety [?]. Wprost temu nie wierzyliśmy, ale potem przekonaliśmy się na własne oczy. W końcu dojechaliśmy do naszego miejsca przeznaczenia, które było w gorkowskiej *obłasti*, nazwane *spec horodok* Południewica.

Na olbrzymiej porębie leśnej w nizinie stało kilkanaście baraków, czyli budynków, które z daleka wyglądały jak budy. Tych kilkanaście baraków i innych budowli było postawionych w trzy rzędy, na środku stała komendantura, gdzie mieszkali nasi pasterze, dalej domy naczelników, stołówka, z której zesańcy mogli korzystać za pieniądze, i sklep, czyli tzw. ławrok, potem *kipiatilka*, gdzie gotowano gorącą wodę, słynny *kipiatok*, z którego korzystaliśmy, dalej koniusznia i garaż traktorów. Naokoło otaczał wszystko ciemny las mieszany, składający się ze świerka, jodły, brzozy i osiki, rzadko lipy. Zimą było dość sucho i mroźnie, natomiast wiosną spod śniegu wylazły zwały lasu, pieńki – jeden przy drugim – tak, że koniem z wozem przejechać było niemożliwie. Z czasem zrobiliśmy wąskie drożki, potem szerokie ulice. Wiosną nie można było ani dojść, ani dojechać, nawet nie zawsze można było przywieźć [coś] traktorami, takie było błoto. Tak wyglądała wiosna i jesień – byliśmy odizolowani od świata. Lato, które trwało z półtora [miesiąca] do dwóch, było dość przyjemne, tylko że bardzo krótkie. Śniegu nie widzieliśmy od końca maja do końca września, a dalej [ziemię] pokrywały śniegi. Po jakimś czasie Polacy doradzali wybudować drogę drewnianą, na co dostali odpowiedź, że w ziemię pieniędzy wkładać nie będą. Polacy powiedzieli, że pójdą za darmo pracować przy [budowie] drogi, aby tylko przez nią nie cierpieć głodu. Zawstydzili się Sowieci i zaczęli budować drogę dla traktorów i wozów konnych, lecz my już bardzo mało z niej mieliśmy korzyści. Po jakimś czasie pokopano rowy po bokach ulic, położono chodniki, co w stu procentach wysuszyło nasz słynny *horodok*. Potem przymusową pracą Polaków rozbudowano naprawdę piękny *horodok* Południewicę.

Warunki mieszkaniowe z początku przedstawiały się bardzo ohydnie. Wyżej wspomniałem o długim adresie. Wyglądało to w ten sposób: barak duży, rozdzielony na dwie sale duże i trzy małe. Sala duża miała przy ścianach porobione prycze piętrowe, które miały po dwa metry szerokości i długości. Wysokość od podłogi do góry wynosiła do 170 cm, a do sufitu

do 160 cm. Taka połowa pryczy przeznaczona była dla pięciu osób. Jeśli ktoś miał rodzinę składającą się z więcej niż pięciu osób, zajmował dół i górę, czyli całą pryczę. Sala miała okna i wejścia, czyli drzwi, naprzeciw siebie i dwa piece po kątach. Okna były dość duże. W sali małej mieszkało kilka rodzin większych, które miały małe dzieci w wieku dwóch do trzech lat. W naszej sali mieszkały 24 rodziny, czyli 118 osób. Pryczy deskami zabijać nie [było] można, najwyżej tylko zawiesić kocem. Rodzinę jedną od drugiej – tak na dole, jak na górze – przegradzał jeden słupek lub dwa, o co nieraz powstawały dość spore kłótnie: to skarpetki spadły na inną pryczę, to coś zginęło i tak w kółko. Na sali od samego rana było dużo możliwości: albo złościć się, albo śmiać się do upadłego, bo np. 24 panie razem stają do gotowania śniadania na tych dwóch piecach. Na każdym piecu można było zmieścić dwa do trzech garnków, nie więcej. Zaraz powstaje kłótnia: „Pani zawsze się nie gotuje?“, „Pani cały dzień siedziała przy tym piecu“. Albo: „Pani Janek popchnął Marynkę“, „Czyje dziecko [tak] niemożliwie wrzeszczy?“. I zaczyna się kłótnia, bywało nawet, że [trwała] przez cały dzień. Jak wiadomo, przyjechaliśmy w zimie: prać nie było gdzie, wysuszyć ubrania też, skupienie ludzi ogromne, wszędzie ciasno i duszno. Łaźnia [była] bardzo mała, z czego powstało zawalenie, na które wprost nie było rady, bo nie każdy jednakowo reagował. Chociaż Sowieci czystości dość przestrzegali, nie było warunków, aby ją utrzymać w tak wielkim zgromadzeniu. Z czasem to się polepszyło, została zbudowana dość duża łaźnia, ludzie mogli się trochę obmyć, lecz jeszcze nie można było utrzymać należytej czystości, dopóki ludzi nie rozmieszczono [tak], aby mogli żyć trochę luźniej. Wzięli się Sowieci na sposób, rozbili posiołek na trzy części: jedną wystali do wołogodzkiej *obłasti*, a z drugiej utworzyli małe posiołki Szabrycha i Dureszowo [?]. Wtedy warunki higieniczne o wiele się polepszyły, ludzie mogli żyć luźniej. Potem zbudowano więcej domów mieszkalnych i prawie każda większa rodzina miała małą salkę, czyli pokój, który miał piec i jedno dość przyzwoite okno, a małe rodziny miały pokój wspólnie, np. po dwie rodziny razem. Wtenczas już dużo zależało od nas samych – wody i drzewa mieliśmy pod dostatkiem, tylko że nie w każdej rodzinie było komu pilnować i przestrzegać higieny, gdyż musiano kombinować, aby rodzina nie wymarła z głodu. Takich było bardzo dużo i trudno było wymagać od nich czystości i pozbywania się brudu. Najgorzej dokuczały wszystkim pluskwy, których nie można [było] w żaden sposób wytępić, także karaluchy, które były odporne na każdy środek zapobiegawczy stosowany przez nas. Środków chemicznych ku temu nie było, bo nawet w domach NKWD-zistów i naczelników było to samo. „Na to nie ma rady“, tak nam odpowiadano.

W posiołku było nas zgrupowanych przeszło dwa i pół tysiąca ludzi, w tym mężczyźni, kobiety i dzieci. Cała ta liczba zesłańców składała się z narodowości polskiej, ukraińskiej i białoruskiej. Mniejszości te przeważnie były spolszczone, tak że bardzo mało odróżniały się. Przeważnie byli: osadnicy wojskowi i cywilni, pracownicy leśni, leśniczowie i gajowi. Przestępstwo wszystkich tych zesłańców było jednakowe. Sowieci [odnosili] się do nas jako [do] wrogów robotniczej klasy i elementu nieodpowiadającego programowi rządu sowieckiego. Musieliśmy być odizolowani od swojej ojczyzny i ziemi. Nie mogliśmy żyć na swoich ziemiach jako wrogowie komunizmu i władzy sowieckiej. Bardzo dużo było wdów z dziećmi, ojcowie puciekali za granicę, a rodziny ich wysłano na północ. Poziom umysłowy był różny, ludzie byli z różnych sfer, posiadali wykształcenie wyższe, średnie i niższe. Poziom moralny był niejednakowy, jedni drugich podtrzymywali na duchu, byli święcie przekonani, że tak być nie może. Wierzyli, że wkrótce wybuchnie wojna i czy za rok, czy więcej Polska powstanie i jeszcze zabłyśnie wolność dla wszystkich, którzy tylko będą jej wari. Byli jednak tacy, którzy upadli na duchu. Wierzyli i nie wierzyli, lecz muszę powiedzieć, że po jakimś czasie oprzytomnieli.

Co do mniejszości narodowych, to rzadko kto się przyznawał [do swojego pochodzenia], każdy mówił, że jest Polakiem, na zebraniach występował przeciw NKWD. Byli jednak i tacy, którzy upadli, ale ogólnie biorąc, to było tak i z Polakami.

Życie wzajemne było dość możliwe. Podejrzewano kilka osób, lecz na gorącym uczynku ich nie przyłapano, choć różnie o nich mówiono. Kilka osób zostało aresztowanych, lecz z jakiego powodu, było to tajemnicą, chociaż są tacy, którzy dużo w tej sprawie mogą powiedzieć, a zwłaszcza ci, którzy byli aresztowani i sądzeni, otrzymali wyroki i siedzieli w więzieniach. Muszę podkreślić, że o wszystkim, co było omawiane w barakach, NKWD przeważnie wiedziało. Kto był donosicielem, tego nie wiem, choć różnie gadali i podejrzewali. Dość, że NKWD wiedziało.

Życie dla zesłańców było dość ciężkie. Może lżejsze od łagrów, lecz w każdym razie dawało się we znaki. Każda rodzina musiała sama siebie wyżywić – za pracę było płacone, a za pieniądze można było kupić to, co było. Gdy tylko przyjechalśmy, wszystkich od lat 18 do 60 wypędzono do pracy, bez względu [na to, czy to] mężczyzna czy kobieta. Jeśli w rodzinie było kilku pracowników, to mogła przeżyć lepiej, bo raz, że więcej zarobiła, a dwa, że więcej mogła dostać chleba i wyżywienia, jak kaszy czy łąpszy. Wszystko, co przywozili do

sklepiku, dawało się tylko robotnikom – dzieciom i starcom nic, oprócz 400 g chleba i zupy w stołówce, wszystko za pieniądze. Wszędzie wisiło hasło, czyli sowieckie przysłowie: *Kto rabotajet, tot kuszajet*, lecz to też nieprawda, bo praca była ciężka, a [wynagrodzenia] były tak minimalne, że mało kto w posiołku mógł sam przeżyć, a co mówić o rodzinie i to jeszcze z dziećmi. Największym świętem było, jak przywieźli do sklepiku cukier, obuwie lub manufakturę. Wtedy ludzie stali po kilka dni w kolejce i czasami [dla nich] starczyło albo i nie. Robotnicy sowieccy co lepsze rozbierali po kryjomu, a dla Polaków zostawał sam szmelc.

Normy były tak wysokie, że rzadko kto mógł uczciwie i rzeczywiście je wykonać; zawsze wykonywał [je] ten, kto wykonywał fałszywie – to jedyne, co ludzi ratowało. Bez względu na warunki atmosferyczne [każdy] musiał pracować, chociaż ubranie było mokre od wczoraj. Musiał ubierać [się] i iść moczyć się więcej – i tak wkoło. [Żeby] spóźnić się albo nie przyjść do pracy, [trzeba było] mieć zwolnienie od lekarza, a jeśli [się go] nie miało, to wsadzano na kilka dni do paki, którą miał każdy posiołek, albo oddawano pod sąd. Sąd sądził pierwszy raz potępieniem po 20 proc. od zarobku, drugi raz więzieniem do trzech miesięcy, a trzeci raz do sześciu i więcej. Pracy wcześniej nie można [było] zostawić, jak jest w rozkazie. Każdy musiał pracować najmniej osiem godzin, a jeśli pracował więcej niż osiem godzin, to był lepszym robotnikiem i był zapisany, i zwany stachanowcem. Nazwisko [jego] zapisane [było] na tzw. *Doski pocziota*. Każdy – mężczyzna czy kobieta – musiał pracować na robotach leśnych lub ziemnych, te roboty były najcięższe i najmniej można było zarobić. Najlepsza była praca fachowa, przeważnie mechaniczna. Jeśli [ktoś] pracował w pracy związanej z mechaniką, wszędzie był bez kolejki, tak w stołówce, jak i [nieczytelne], a nawet [nieczytelne].

Wyżywienie przeważnie składało się z chleba i kaszy, bardzo dawało się odczuć brak tłuszczu i cukru. Chleba robotnik dostawał do wojny kilogram, a podczas wojny 800 g. W stołówce żywić się było niemożliwe, zwłaszcza z rodziną. Najlepiej opłacało się kupować kartofle i mięso od kołchoźników, którzy przywozili je do *horodka*, lecz aby kupić coś u kołchoźnika, trzeba [było] mieć specjalne zezwolenie. Kołchoźnik za pieniądze sprzedawał bardzo mało, przeważnie na wymianę, jak manufaktura, obuwie lub ubranie, co Sowietci nazywali „szpikulacją” i jeśli [kogoś] złapali na wymianie rzeczy kupionej w sklepie, to wsadzali do paki. Swoje własne ubrania i obuwie z Polski można było wymieniać, tak że każdy, kto miał jakieś ubranie, wymienił [je] na jedzenie, a musiał trząść łachami i chodzić w łapciach. Pierwszą zimą Polak okropnie się różnił od Sowietów ubraniem, z daleka można [go było] poznać, lecz po jakimś czasie tak jak kiedyś Polak, tak [teraz] kołchoźnik chodził, tak samo i kobiety.

Do kołchozu nie można było chodzić bez przepustki, a przepustkę można [było] dostać, lecz tak trudno, że rzadko kto mógł [tam] iść. Jedynie kobiety, których rodzina głodowała, nie patrzyły na nic, a szły żebrac po kołchozach. Milicjanci [je] łapali i odstawiali do *horodka*, gdzie dana kobieta posiedziała w pace, ale dzieci musiała nakarmić. Kołchoźnicy byli dość uczciwi, tylko że sami nic nie mieli; jednak zawsze co mieli, to dali.

Dzień spędzało się w sposób następujący, o 6.00 rano był dzwonek, czyli pobudka, o 7.00 śniadanie, o 7.30 przygotowanie do pracy, o 7:45 wyjście, [o] godz. 8.00 początek pracy, o 12.00 obiad, o 13.00 znowu praca, o 17.00 koniec pracy, o 19.00 dzwonek na zbiórkę komendantów baraków na odprawę do komendatury, o 21.00 capstrzyk i sprawdzanie imienne każdej rodziny kolejno – nawet dziecko, jeśli spało, to musieli podnieść kołdrę i zobaczyć. Potem [zapadała] martwa cisza aż do rana. Jeśli kogoś nie było przy sprawdzaniu, jeśli był nawet w klozecie, po przyjściu musiał zameldować się w komendaturze osobiście. W każdej sali musiał być nocny stróż, który odpowiadał za stan jemu powierzony. Stróżem był każdy starszy w rodzinie i każdą noc był [nim] ktoś inny, czyli kolejno [ktoś] z każdej rodziny, czyli kabiny. Cisza nocna musiała być ciszą.

Stosunki koleżeńskie między nami Polakami były bardzo dobre, zwłaszcza [między] młodzieżą – jeden za drugim poszedłby w ogień, tak chłopcy, jak i dziewczynki. Lecz koleżeństwa z Sowietami wcale nie zawierano. Żadna dziewczynka nie miała nic wspólnego z nimi, chociaż ich było bardzo mało, z kołchoźnikami nasze dziewczynki wcale nie rozmawiały. Sowietom pragnęli zawrzeć koleżeństwo, niestety nie było pożądanego to przez nas. Życie kulturalne w naszym *horodku* stało na bardzo niskim poziomie. Nie było ani jednego dnia w celu kulturalnym, może dlatego, że my pod każdym względem staliśmy wyżej. Była założona szkoła rosyjska, do której musiały uczęszczać nasze dzieci, w szkole wychowywano tylko w duchu komunistycznym, niestety dzieci były wychowywane przez rodziców w innym duchu, tak że nieraz nauczyciele oskarżali rodziców, że namawiają dzieci przeciwko ich nauce, co nieraz powodowało wielkie niezadowolenie i różne [nieczytelne] z nauki, którą wykładały nauczycielki [nieczytelne]. Poza tym życia kulturalnego nie mieliśmy żadnego, nie mieliśmy ani teatrów, ani czytelni lub czegoś podobnego. Kino było dla nas zjawiskiem i to zwłaszcza z przeżyć [nieczytelne] i komunizmu.

Władze sowieckie odnosiły się do nas bardzo surowo, a zwłaszcza NKWD wyzywało nas od najgorszych słów, lecz musimy przyznać i powiedzieć, że Polacy pod każdym względem

przewyższali Sowietów – tak w pracy fizycznej, jak zwłaszcza umysłowej. NKWD z początku robiło i [nieczytelne] zebrania w celu szerzenia propagandy komunistycznej. Polacy żadnej nauki sowieckiej nie przyswajali, a dawali takie odpowiedzi, że Sowietci nie mogli połączyć się z rozumem. Informacje o Polsce były bardzo skąpe i nieokreślone, jednak sami [Sowieci] przyznali, że Polacy przewyższają ich pod każdym względem – fizycznym i naukowym. Mówili i wpajali swojej ludności, że w Polsce robotnicy pracowali dla panów, że włościanin nie miał żadnego prawa, a tylko panowie. Polacy wytłumaczyli, co to są panowie i że każdy obywatel ma równe prawa i każdy obywatel jest Polakiem, i może korzystać z praw obywatelskich. Gdy Polacy zaczęli dawać różne przykłady, Sowietci musieli sami [nieczytelne] komunistyczną, tak że na ostatnim zebraniu powiedzieli, że „pany” więcej wiedzą od nich. Bo oni udowadniali, że Polska jest to państwo, które powstało zaledwie kilkanaście lat [temu] i jako państwo istnieć nie może. Musimy przyznać, że dużo było [takich], którzy znali historię Polski, jednak więcej było tych, którzy Polskę znali z propagandy sowieckiej. Pod [nieczytelne] zebraniach, bo widzieli, że w żaden sposób nie potrafili przekonać Polaka o swojej ojczyźnie i kraju. Tak że zaniechali całkiem propagandy komunistycznej.

Pomoc lekarska z początku przedstawiała się bardzo skromnie. Nie było szpitala, a nawet lekarza czy apteki. Mieliśmy jednego lekarza Polaka, który starał się i ile mógł, chronił nas od śmiertelności. Lekarstw żadnych nie miał, lecz gdy *horodek* ogarnęła choroba zakaźna i dyzenteria i śmiertelność powstała w bardzo wielkiej skali, wtedy Sowietci zaczęli się starać i zapobiegać śmiertelności. Natychmiast sprowadzono komisję lekarską, która od razu wydała zarządzenia: każdej osobie zastrzyk przeciw tyfusowi i wszelkie środki odkażające oraz kamery dezynfekcyjne. Po paru miesiącach epidemia została opanowana, bo każdy otrzymał zastrzyk i [nieczytelne] środek zapobiegawczy przeciwko tyfusowi i dyzenterii. Jednak 420 osób musieliśmy pożegnać na bliskim cmentarzu. Pogrzeb odbywał się w bardzo nieprzyzwoity sposób, tak że za bramę umarłego nie mogło odprowadzać [więcej] jak trzy osoby [z] najbliższej rodziny. Po śmierci każda osoba była topiona, bo grób był pełny wody, tak że daną ofiarę musiano trzymać tyczkami, póki nie przysypano jej piaskiem.

Podczas epidemii każdego dnia było po osiem do dwunastu trupów dziennie, dopóki nie zjechali się lekarze z Gorkiego i nie założyli szpitali i innych środków zapobiegawczych. I tak pomału z każdym dniem zaczęli tępić choroby zakaźne, tak że po tej epidemii zachorowania ustały i do końca, dopóki żyliśmy w tym *horodku*, śmiertelność ustała. Prawda, że był bardzo mały procent, który nie chorował na tyfus lub dyzenterię. Ci ludzie byli bardzo odporni,

jednak muszę [nieczytelne], że zmarło przeszło 400 osób, przeważnie młodych, bo w wieku od lat 14 do 35. Takiego elementu musieliśmy zostawić przeszło 400 osób, lecz po założeniu szpitala pomoc lekarska była dość możliwa. Leczyli tym, co mieli. Śmiertelność [nieczytelne] uratowaliśmy się, czyli uciekliśmy ze szponów śmierci. Nazwisk zmarłych nie pamiętam, lecz znam ich tak dużo, że nie warto opisywać. Dość tego, że umierali ludzie z różnych sfer i w młodym wieku.

Łączność z krajem była dość możliwa, tak że korespondencję, chociaż cenzurowaną, otrzymywaliśmy bez dużego opóźnienia i rzadko który list był niedoręczony na miejsce zaadresowania. Nie można było jedynie opisywać miejscowości i nazw przeznaczenia robót lub warunków życiowych. Na pocztę nie można było narzekać, bo otrzymywaliśmy nawet pieniądze i paczki przeznaczone dla nas.

Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, NKWD [nieczytelne]. Chociaż nie czytaliśmy żadnych gazet, jednak przeczuliśmy, że jest coś innego. Milicja [nieczytelne] nie przyznawała, a gdy ktoś przeczytał w gazecie, że Polacy są wolni, to NKWD-ziści [nieczytelne], że to jest dla zesłańców i dla jeńców, nam nadal grozili [nieczytelne] i karą za niewykonywaną pracę. 26 sierpnia 1941 r. przyjechał jednak inny komisarz NKWD i wezwał każdego w kolejności alfabetycznej, odczytując prawa wolnego Polaka na ziemi ZSRR, bez prawa przebywania w miastach pierwszej i drugiej kategorii oraz w pasie frontowym i pogranicznym. [Powiedział też, że] kto natychmiast nie wyjedzie, podlega nadal prawom jako obywatel sowiecki i może być nawet sądzony przez sąd sowiecki. Z naszego horodka każdy bał się ruszyć w świat z tego powodu, że nikt nie wierzył, iż to jest prawda, choć każdy mógł już czytać gazetę i pracować tam, gdzie mu się żywnie podobało. Nikt w to nie wierzył i [każdy] czekał jakiejś odezwy rządu polskiego. Wojenkomat wysłał bardzo mało [osób] na swój koszt do armii polskiej, nawet w kołach, czyli urzędach informacyjnych, informowali, że wojska polskiego [brak] nie można się ruszać [brak] na rozkaz rządu polskiego. Plut. Maj zaczął jeździć do polskiego poselstwa i wreszcie dostaliśmy telegramy, że możemy wyjechać na własny koszt na południe i tam dopiero wstąpić do Wojska Polskiego.

24 listopada 1941 r. załadowaliśmy się wraz z rodzinami i jechaliśmy w kierunku [nieczytelne] do wojska. Tam dostaliśmy rozkaz i udaliśmy się na południe na Taszkent. Do wojska [nas] nie przyjęli, wszędzie [było] przepełnienie. Dojechaliśmy do Buchary, gdzie na rozkaz polskiej placówki rozjechaliśmy się po kołchozach Uzbekistanu. Po przyjeździe na placówkę polską

zawsze byliśmy informowani, że za tydzień będzie organizować się dywizja w bucharskiej *obłasti*. Dopiero po długim oczekiwaniu dostaliśmy wezwanie do stawienia się na komisję do Buchary, skąd byliśmy odesłani do Kermine i tam zostaliśmy wcieleni do Wojska Polskiego. Ja wstąpiłem 25 lutego 1942 r. do 7 Dywizji w Kermine. Prawda, że tam jeszcze musiałem przecierpieć, jednak moralnie byłem bardzo zadowolony.

Niestety, rodziny nasze pozostały w ciężkich warunkach w kołchozach. W marcu 1942 r. wyjechałem do Persji, a potem do Palestyny, jednak rodzice moi zostali w kołchozie i w czerwcu 1942 r. mamusia moja zakończyła ciężkie cierpienia i na zawsze została na ziemiach Uzbekistanu. Tatuś poświęcił swą starość losowi i żyje na łasce obcych ludzi, czyli bliskich rodaków. Syn w wojsku marzy o powrocie do Ojczyzny i odzyskaniu niepodległości – tym synem jestem ja. Tak bardzo krótki i na pewno z błędami napisałem ten kwestionariusz, lecz wszystko opisałem sprawiedliwie i w dużym skróceniu. Z przeżyć tych można napisać książkę, bo bardzo dużo opuściłem rzeczy tak bardzo wielkich, lecz niestety nie mogłem ich zamieścić z braku czasu. Niestety, nie jestem pisarzem. Na tym kończę!